POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENCE (in U.S.A. and Canada 5c.)

Wychodzi co tydzień *Dnia 7-go czerwca 1946r* **Rok VIII. Nr. 23**

NASZ PUNKT WIDZENIA

„*Observer*" z dnia 26.V. na str. 5 w „*Peregrine's European Notebook*" wzmiankuje o spodziewanym przybyciu II Korpusu do W. Brytanii. Po swoistej, godnej raczej moskiewskiej „*Prawdy*" lub „*Daily Worker'a*" charakterystyce żołnierzy Korpusu, autor korespondencji — o ile nam wiadomo nie-Brytyjczyk — oświadcza:

„Jednakowoż, wielu z nich biło się dzielnie ramię przy ramieniu z Brytyjczykami, to też Rząd Brytyjski spłaca obecnie dług honorowy, przyjmując tych żołnierzy do brytyjskiej wspólnoty. Przez akt ten W. Brytania demonstruje wobec świata wierność dla swojej tradycji udzielania azylu tym, którzy się uważają za emigrantów politycznych, aczkolwiek nie ulega wątpliwości, że żołnierze ci nie są Hugenotami dzisiejszej doby".

Było by zbędne zajmowanie się tym, co pisze ten lub ów korespondent brytyjski, zwłaszcza, gdyby istotnie szło o intruza...Było by to zbędne tym bardziej, że mieliśmy aż nadto dowodów, jak pewne organy prasy brytyjskiej mało dbają o rzetelne i bezstronne informowanie swoich czytelników o wielu istotnych sprawach polskich. Gdyby sprawozdawcy sportowi tej prasy informowali czytelników o różnych imprezach życia sportowego w podobny sposób, na pewno wywołałoby to gwałtowną reakcję. Oczywiście, przyznajemy, że sprawy polskie to nie *Derby*, *Grand National* czy też *match Woodcock'a*. Ale chodzi nam w tym wypadku o wyjaśnienie n a s z e g o punktu widzenia na sprawę powstania owego „długu honorowego" oraz na sprawę jego spłaty.

* * *

Prasa brytyjska przedstawia to, jako dług honorowy powstały na skutek tego, że Polacy walczyli ramię przy ramieniu z Brytyjczykami. Spłatę natomiast tego długu przedstawia się jako dowód szlachetnego współczucia dla niedoli „*of those valiant soldiers*", jako dowód wspaniałomyślności, wreszcie — jako wynik poszanowania dla prawa azylu, co jest piękną cechą demokracji zachodnich. W ten sposób w ogólnych liniach kształtuje prasa opinię publiczną.

Śledziliśmy, co jest aż nadto zrozumiałe, dość uważnie wahania, jakim ulegały powyżej opisane przesłanki uczuciowe. Śledziliśmy to i na łamach prasy i w przebiegu debat parlamentarnych. Wrażenia nasze odłożyliśmy do archiwum naszych doświadczeń i nauk życiowych.

Czasem odnosimy wrażenie, że każdy niemal kraj broni się od naszej imigracji, jak od zarazy, co, zresztą, jest ludzkie. Odnosimy też czasem wrażenie, że temperaturę owych wzniosłych sentymentów znakomicie podnosi taka okoliczność, na pozór nie mająca z tym związku, jak coraz bardziej kurcząca się ilość robotników rolnych lub dążenie górników do 5-dniowego tygodnia pracy przy istniejącym blisko 15% niedoborze wydobycia węgla.

Obawiamy się już nawet — oczywiście wyłącznie na podstawie plotek — że to może się odbić i na losie naszej młodzieży, studiującej na wyższych i średnich uczelniach. Wykształcenie nie jest przecież niezbędne dla pracy na roli czy w kopalni. Brzmi to dla nas jakimś dalekim echem słyszanych gdzieś teorii.

* * *

Być może, że daliśmy zanadto folgę goryczy w tych rozważaniach. Podobno wytrawny publicysta powinien unikać jaskrawszych uczuć w artykułach. Ale chyba żołnierzowi, i to w piśmie o żołnierskiej tradycji i tytule, wybacza się taka naiwność, gdy się w nim wątroba nieco poruszy.

Żołnierz bowiem nie znosi obłudy i ozłacania gorzkich pigułek. Żołnierz nieraz staje oko w oko wobec najwyższej prawdy, wobec prawdy śmierci, bo tak musi. Posiada więc, należy się spodziewać, dość mocne nerwy, ażeby usłyszeć prawdę, bodaj najbardziej brutalną, nagą prawdę. Żołnierz nie potrzebuje słodkich słówek ani zapewnień o życzliwości, jeżeli jej w istocie nie ma, bo to mu mimo woli przypomina niesmaczne wynurzenia o dozgonnej przyjaźni, z jaką się czasem oświadczano wobec Stalina czy Wyszyńskiego.

Dlatego też chcemy powiedzieć otwarcie, po żołniersku, czy to się spodoba czy nie spodoba, że w naszym pojęciu dług ten powstał nie za wspólną walkę, bo Polak za krew przelaną w walce nigdy zapłaty nie żąda, tym bardziej, że Polak zwykł już walczyć za cudzą i za własną wolność. Dług ten powstał za Teheran, za Jałtę, za linię Curzon'a *recte* linię Ribbentrop-Mołotow, za uznanie Bieruta i za wyznaczenie Osóbki.

Tak opiewa nasz skrypt dłużny.

A za wspólną walkę mamy już całkowitą, żołnierską zapłatę: honor walczenia obok najlepszych żołnierzy świata, honor walczenia pod rozkazami świetnych wodzów brytyjskich, honor noszenia brytyjskiego battle-dress'u, i wreszcie — honor noszenia wojennych odznaczeń brytyjskich.

Mamy na naszych sztandarach dwa słowa: Honor i Ojczyzna. Za honor zapłacono nam najrzetelniej honorem. Ale za Ojczyznę, za to jeszcze nam nie zapłacono.

Przechodząc więc do sprawy spłaty owego długu, nie możemy jej przyjąć jako czegoś, co nam się daje w formie wspaniałomyślnego gestu czy odruchu humanitaryzmu. To nie jest tak, że my zasługujemy na współczucie, ale to jest tak, że nam się należy zapłata za naszą ojczyznę. A cena jej jest przecież niewymierna, nie ma ceny na to. Byle co więc nie wyrówna szali, na których leżą: nasza wierzytelność i ofiarowana nam zapłata.

Taki jest nasz punkt widzenia.

I jeszcze jedno. Gdyby nam otwarcie, po męsku powiedziano, że „nie mogliśmy dotrzymać naszych zobowiązań, winniśmy wam za to i za to, sami widzicie, że nie jesteśmy dzisiaj w stanie zrobić dla was więcej, spłacamy więc was jak tylko możemy najlepiej", ba! przyjęlibyśmy takie słowa ze zrozumieniem i z uznaniem, dalibyśmy ze siebie całą ochotę i dobrą wolę, a gorycz odrzucilibyśmy precz. Taki już jest polski charakter. Dziś nie stać nas jeszcze na uznanie zawieszenia spłaty, bo zapłacić za śmierć matki zresztą i tak nie sposób.

Szkoda, że ludzkie i uczciwe intencje ministra Bevina zostają tak interpretowane przez prasę i przez opinię publiczną, na szczęście nie przez wszystkie jej odłamy.

* * *

Aby uzupełnić i podkreślić nasz punkt widzenia, chcemy dołączyć kilka dalszych ustępów. Brzmią one następująco.

Umowa jałtańska między W. Brytanią, St. Zjednoczonymi i Rosją, narzucona Polsce siłą, jest bezprawiem. Nowe granice Polski są nielegalne, nielegalny jest nowy rząd polski, jak również nie mają mocy prawnej wszystkie akty prawne tego rządu oraz traktaty zawarte z innymi państwami. Natomiast Rzeczpospolita Polska w granicach z sierpnia 1939 roku, jej Prezydent, Rząd Polski w Londynie wraz ze swymi ambasadorami, posłami i konsulami w różnych krajach — to i tylko to jedynie jest prawomocne i legalne...

Polskie „nie" powiedziane wspólnie z W. Brytanią Niemcom oraz Rosji w 1939 roku sprawiło to, że wojna się zaczęła i zaczęła jeszcze nie za późno. To polskie „n i e" sprawiło, że imperium brytyjskie i rosyjskie ostały się, a imperium amerykańskie uniknęło śmiertelnego niebezpieczeństwa.

I Churchill i Eden szczerze pragnęli uratować niepodległość Polski. Nie potrafili tego zrobić. Stalin wymanewrował ich od samego początku. Chcąc uratować bodaj pół Polski kosztem drugiej połowy, zaprzepaścili całą Polskę. Staje się oczywiste, że ani Churchill, ani Eden nie przejrzeli zamiarów Rosji, a już istoty sprawy polskiej nie rozumieli zupełnie. A dziś, jakiekolwiek zmiany w sprawie polskiej mogą nastąpić, wygrają Niemcy, Rosja nie straci na pewno, straci tylko Polska...

Churchill, Truman i Stalin posunęli się w Poczdamie znacznie dalej, niż Katarzyna, Maria Teresa i Fryderyk (w roku 1782). I to właśnie w Poczdamie — w mieście Fryderyka...

Katastrofa Polski jest tym bardziej tragiczna, że nie jest zrozumiana przez świat, który zresztą nie chce jej zrozumieć. W swej tragedii Polska jest zupełnie opuszczona. Upadły jej słuszne nadzieje wskutek złamania przez jej sojusznika, W. Brytanię, zobowiązań i obietnic danych Polsce w swoim czasie. Najprzykrzejsze jest to, że nowy rozbiór Polski został dokonany przez Rosję przy biernym patrzeniu się przez palce ze strony W. Brytanii i St. Zjednoczonych...

Katastrofa Polski jest tylko częścią znacznie większego kataklizmu, który ogarnął ponad sto milionów Europejczyków, od Oceanu Lodowatego aż po granice Grecji...

Wśród tak niepewnej sytuacji dzisiejszej jedno jest pewne, mianowicie, że to, czego dokonano w Teheranie, Jałcie i Poczdamie, nie może trwać, gdyż zgubne skutki tego sięgają tak szeroko i tak głęboko, że nie można już ani załatać tego, ani pominąć. A W. Brytania będzie musiała kiedyś stanąć wobec skutków tego stanu rzeczy, a to dla obrony własnej i swego Imperium, jak również dla obrony własnej i całej Europy przyszłości, gdyż losów W. Brytanii nie można oddzielić od losów Europy...

Słów powyższych świadomie nie ujęliśmy w cudzysłów, chociaż zostały napisane nie przez autora niniejszego artykułu. Ale pod tymi słowami może się podpisać każdy Polak, tak bardzo są przez nas odczute, tak płyną z naszych serc i z myśli. Słowa te nie potrzebują cudzysłowu. Napisał je Brytyjczyk, p. F. A. Voigt („*Nineteenth Century and After, September* 1945). Napisał te słowa wielki Europejczyk.

I znów powiemy z żołnierską, cokolwiek niezgrabną otwartością: taki jest i nasz punkt widzenia.

KONNY ARTYLERZYSTA

O PRAWA SZAREGO CZŁOWIEKA

Mimo znacznego wzrostu ludności globu ziemskiego, wynoszącej obecnie około 2.300.000.000, świat dzisiejszy jest jakby mniejszy od świata wczorajszego. Dokonała tego technika. Przezwyciężając odległości komunikacyjne [samolot], informacyjne [radio] i obronne [rakieta], umieściła nas wszystkich na jednym wspólnym podwórku, sprawiła, że, jak mówią tu w Anglii: „*We are all in the same boat*".

Im więcej żyje na świecie ludzi, tym mniejszą wartość przykłada się do życia jednostki. Ale zarówno chrześcijańskie poszanowanie godności człowieka, stworzonego na podobieństwo Boga i noszącego w sobie iskrę Bożą, jak też rozumne gospodarowanie społeczne materiałem ludzkim każą domagać się właściwego traktowania jednostki. Szary człowiek jest nie tylko przedmiotem, lecz również podmiotem. A że dzisiaj wszelkie planowanie odbywa się w skali międzynarodowej, więc prawa człowieka muszą być zabezpieczone również na tej podstawie.

Powstała ostatnio specjalna Komisja Praw Człowieka, która zajmie się opracowaniem międzynarodowej deklaracji praw człowieka. Jak wiadomo, istniały dotychczas: deklaracja praw człowieka i obywatela pierwszej republiki francuskiej, kilka odnośnych deklaracji amerykańskich [deklaracja niepodległości, konstytucja, mowa prez. Lincolna w Gettysburgu], angielskich [*Magna Carta* i *Habeas Corpus*] i innych. W Polsce mieliśmy prawo wolności osobistej — *Neminem captivabimus* — i Konstytucję 3-go maja. Nigdy dotąd nie starano się jednak ustalić prawa jednostki na płaszczyźnie międzynarodowej, prawa obowiązującego na całym świecie połączonego z kontrolą i obroną przed gwałceniem praw wolnościowych jednostki przez rząd jakiegoś państwa w stosunku do swoich własnych obywateli.

Ten ostatni punkt stanowi prawdziwą rewolucję w rozwoju pojęć prawa międzynarodowego. Jest on istotnie namacalnym stwierdzeniem, że suwerenność poszczególnego państwa ma ulec coraz to większym ograniczeniom na rzecz wspólnej organizacji międzynarodowej. Można dyskutować o tej sprawie i wytoczyć mnóstwo argumentów natury uczuciowej. Faktem jednak jest, że w chwili obecnej, gdy nawet wyżywienie trzeba planować na szczeblu światowym, gdyż inaczej miliony osób zginą z głodu, a w innych krajach będzie się palić lub wrzucać do morza bezcenne wprost produkty, obecnie w obliczu konieczności międzynarodowej obrony przed śmiertelną groźbą nowoczesnej niszczycielskiej techniki — nieunikniony jest inny sposób myślenia, niż dotychczas.

Może się nam ta zmiana podobać lub też nie: nie wpłynie to w niczym na fakt, że stosunki zmieniły się zupełnie zasadniczo i że wybujały nacjonalizm doprowadzić może tylko do zamętu. Na odwrót rezygnując z pewnych praw, których państwa nabyły zresztą dopiero w ciągu ostatnich 150 lat, będzie można utrzymać własne narodowe życie społeczne i kulturalne, korzystając jednocześnie z wzajemnego przenikania się kultur poszczególnych grup narodowych.

Zanim omówimy w zarysie rolę, jaka wyznaczona jest Komisji Praw Człowieka, chcielibyśmy zwrócić uwagę czytelnika na jedną bardzo znamienną okoliczność. Jak wszyscy wiemy, powstała ostatnio Organizacja Narodów Zjednoczonych — ONZ — która zastąpiła dawną Ligę Narodów i która jest bezpośrednim wynikiem drugiej wojny światowej. Wiemy również, że ONZ, zarówno w swoim statucie, jak też w praktyce życiowej, odbiega bardzo daleko od ideałów równości i sprawiedliwości. Faktycznie zbudowana jest ona w ten sposób, że wielkie mocarstwa mniej lub więcej rządzą się „jak u siebie w domu" — na całym Bożym świecie. Na czele ONZ stoi Wielka Piątka, z których Chiny i Francja mają dość niewiele do powiedzenia. Z kolei, w ściślejszych ramach Wielkiej Trójki, upośledzony jest słabszy partner — W. Brytania. W rezultacie o najważniejszych sprawach, decydują ostatecznie głównie dwa kolosy państwowe: Stany Zjednoczone i Rosja Sowiecka.

Niektórzy obserwatorzy polityczni są zdania, że mniejsze państwa powoli usamodzielnią się i wyjdą spod kurateli „wielkich". Może. Droga do tego jednak długa i niepewna. Chwilowo liczmy się z rzeczywistością dnia dzisiejszego. Otóż ONZ wyłoniła ze siebie dwie „rady": Radę Bezpieczeństwa, czyli dyrektoriat polityczny i Radę Gospodarczą i Społeczną, której rola określona została w samej jej nazwie.

Rada Bezpieczeństwa od pierwszej chwili uważana była za organ najważniejszy, a Radę Gospodarczo-Społeczną traktowano z pobłażaniem i protekcyjnie. Tymczasem ujawniła się rzecz, którą należało przewidzieć, ale której nie doceniono: Rada Bezpieczeństwa, zajmując się spornymi sprawami natury politycznej, faktycznie jest jakby sparaliżowana i do żadnych praktycznych wyników dotąd nie doprowadziła. Tymczasem Rada Gospodarcza i Społeczna dokonała już pewnych pożytecznych kroków w dziedzinach, zdawałoby się bardziej skromnych, do których została powołana.

Staraniem Rady Gospodarczej i Społecznej ONZ powołano do życia londyńską konferencję w sprawie uchodźców, na której starły się dwa zasadnicze światopoglądy: humanitarny chrześcijańskiego Zachodu i brutalny — pogańskiego Wschodu. Podczas gdy Anglicy, a częściowo też Amerykanie starali się głównie pomóc nieszczęśliwym uchodźcom, Sowiety, titowcy i inni rosyjscy satelici wołali „policja!" i wszędzie węszyli zdrajców.

Mimo tego rozłamu, Konferencja doprowadziła do pewnych konkretnych wyników, które niebawem mają zostać wprowadzone w życie. Metody policyjne wschodniej Eropy, która nie szanuje wolności osobistej własnych poddanych i, oczywiście, nie uznaje w ogóle niczyjej wolności, uwypukliły się niedwuznacznie i w świetle niezbyt korzystnym w toku dyskusji, których nie dało się przeprowadzić przy drzwiach zamkniętych...

Komisja Praw Człowieka jest jednym z licznych organów, powołanych do życia przez Radę Gospodarczą i Społeczną. Rada wyszła ze słusznego założenia, że prawa ludzkie nie są zagadnieniem rozgrywki politycznej, ale stanowią podstawę porządku społecznego. Rada poleciła Komisji przedstawić „zalecenia i sprawozdanie, dotyczące: opracowania Międzynarodowej Deklaracji Praw Człowieka; konwencji międzynarodowych, gwarantujących swobody obywatelskie; statutu położenia kobiet; swobody wymiany wiadomości prasowych i tp.; ochrony mniejszości; jednakowego traktowania wszystkich ludzi, bez względu na ich rasę, płeć, język lub religię".

Kilka rządów złożyło już projekty, odpowiadające poszczególnym punktom tego programu: Kuba i Panama przedstawiły projekt deklaracji międzynarodowej praw człowieka, a Stany Zjednoczone propozycję swobodnej wymiany informacji prasowych i tp.

W chwili obecnej powołano do życia tylko komisję-kadrę, liczącą w swoim składzie 9 rzeczoznawców. Komisja ta potem rozwinąć się ma w większy organizm, do którego wejdzie dwudziestu kilku delegatów poszczególnych państw. W chwili obecnej reprezentowane są w Komisji następujące kraje: Stany Zjednoczone, Rosja Sowiecka, Francja, Chiny oraz Belgia, Jugosławia Indie, Norwegia i Peru. Charakter Komisji jest chwilowo jedynie doradczy, ale jednym z pierwszych postulatów — i to wysuniętym przez wicesekretarza generalnego ONZ — jest, aby Komisja, przedkładając projekt Deklaracji Praw Człowieka, zażądała dla siebie praw nadzoru na całym świecie nad wykonywaniem zasad Deklaracji we wszystkich państwach.

Najpoważniejszy dziennik amerykański, „*New York Times*", nazwał tę propozycję prawdziwą rewolucją. Życzymy jej jak najszybszego urzeczywistnienia!

Wicesekretarz generalny ONZ, którym jest prof. Laugier z Paryża, podkreślił jednocześnie, że przyjęcie przez dane państwo deklaracji praw człowieka byłoby warunkiem wstępnym dopuszczenia tego kraju do wspólnoty Narodów Zjednoczonych. Nie mamy złudzeń na temat obowiązków „członków założycieli" ONZ, ale wyrażamy nadzieję, że dostosują się one do Deklaracji, na tyle, na ile je się zmusi.

„Będą mieli państwo — oświadczył p. Laugier członkom Komisji — zadanie trudne, lecz zasadnicze i niezmiernie ważne, a mianowicie określenie pogwałceń Praw Człowieka wewnątrz danego państwa, pogwałceń, które stanowią groźbę dla międzynarodowego bezpieczeństwa i pokoju. Stwierdzenie takich pogwałceń uruchomi odpowiednie mechanizmy ONZ, istniejące w celu zagwarantowania bezpieczeństwa i pokoju. Zaproponujecie państwo zorganizowanie grup obserwatorów, których zadaniem będzie stwierdzenie i zadenuncjowanie pogwałceń Praw Człowieka na całym świecie".

Jako widomy symbol ideałów, które mają kierować pracami Komisji, wybrała ona na przewodniczącego delegatkę amerykańską, panią Roosevelt, wdowę po prezydencie. Wiceprzewodniczącym został prof. René Cassin, były minister sprawiedliwości w rządzie londyńskim generała de Gaulle, człowiek nieposzlakowany i wielkiej odwagi przekonań osobistych. Te personalia Komisji dobrze wróżą na przyszłość, podobnie jak obecność delegata Indii, kraju, który stanie się niebawem niezależną federacją z górą 300 milionów ludności, domagającej się na zewnątrz i u siebie w Kraju praw i wolności osobistej.

U podstaw istnienia i działalności Komisji dla Praw Człowieka leży zasadnicza teza: tylko bezpieczeństwo i poszanowanie praw jednostki może zapewnić bezpieczeństwo i poszanowanie praw państw, składających się z owych jednostek. Członkowie Komisji wiedzą, że trzeba będzie przezwyciężać wiele oporów, zarówno przy samym uchwalaniu Deklaracji, jak też przy wprowadzaniu jej w życie, a wreszcie stałym przestrzeganiu jej praktycznego stosowania. Istnieje w tej dziedzinie stare a bardzo słuszne powiedzenie: „Ceną wolności jest wieczna czujność!"

J. P. LAURENT

Przegląd tygodniowy

NIE JEDEN, LECZ DWA ŚWIATY

Wszystkie ostatnie wydarzenia w świecie, gdziekolwiek by się działy i jakiekolwiek byłyby ich znaczenie, mają jedną cechę wspólną: oto w ten czy inny sposób konsolidują podział świata. Wciąż jeszcze powtarza się, że „świat jest jeden" i że podzielić go nie można, ale jednocześnie z dniem każdym rozdwojenie globu staje się trudniejsze do uniknięcia.

Nadal czynione są próby przeszkodzenia temu podziałowi, udaremnienia go „na pięć przed dwunastą" i znalezienia nowych form współpracy. Ale nigdy nie wiadomo, czy to, co pomyślane jest jako próba wymuszenia jedności, nie utrwali jeszcze bardziej podziału. Np. postanowienie Amerykanów, by przestać wykonywać decyzje poczdamskie w odniesieniu do odszkodowań miało na celu, podobnie jak szereg innych posunięć, obalenie bariery, dzielącej w poprzek Europę; jednakże w praktyce może jeszcze bardziej zaakcentować podział Niemiec i uczynić go ostatecznym. A trwały podział Niemiec na część sowiecką i część zachodnią, to podział całej Europy.

Coraz bardziej zresztą wzmaga się akcja na rzecz organizacji świata niesowieckiego, który do tej pory szedł — w rozsypce. Mołotow w swym ostatnim przemówieniu, które tak bardzo przyczyniło się do pogłębienia przekonania, że przepaść między Rosją, a Zachodem jest nie do wyrównania, skarżył się m.in. na „blok anglo-amerykański", zmierzający do narzucenia Rosji swej woli i prowadzący na konferencji paryskiej ofensywę antysowiecką. P. Byrnes zaprzeczył istnieniu bloku, ale faktem jest, że w ostatnich tygodniach nastąpiła wielka zmiana w stosunkach anglo-amerykańskich.

Jeszcze parę miesięcy temu były one bardzo złe. Amerykanie sądzili, że Wielka Brytania i jej „imperializm" są przyczyną, dla której nie mogą dojść do porozumienia z Rosją, podczas gdy Brytyjczycy zaklinali się, że kapitalizm amerykański jest im równie daleki, jak komunizm rosyjski. Na konferencji moskiewskiej p. Byrnes wręcz próbował dojść do porozumienia z Rosjanami kosztem interesów brytyjskich. Mołotow zacierał ręce: wiedział, że Rosja tylko wówczas może osiągnąć swe cele, gdy Ameryka i W. Brytania są podzielone.

Nic więc dziwnego, że dziś jest tak głęboko rozczarowany. Stany Zjednoczone i W. Brytania współpracują ostatnio ściśle. Szły ręka w rękę na konferencji paryskiej tak samo jak w Radzie Bezpieczeństwa, ślą jednocześnie i jednakowe noty do Jugosławii i Rumunii (świadczące o nowej ofensywie w sprawach Europy wschodniej), Senat amerykański uchwalił pożyczkę dla W. Brytanii itd. Stany Zjednoczone i Kanada planują wspólną obronę, co pośrednio musi się przyczynić do stworzenia nowych więzów również między St. Zjednoczonymi a W. Brytanią.

Innym przejawem konsolidacji Zachodu była pożyczka udzielona przez St. Zjednoczone Francji. Wskazywała ona na nadzieję Stanów, że zmuszona do wyboru, Francja wybierze Zachód.

KONSOLIDACJA BLOKU SOWIECKIEGO

Rosja ze swej strony konsoliduje swój blok, tym się od zachodniego różniący, że nie jest dobrowolny, lecz oparty na niewolniczej zależności od Moskwy.

Jednym z przejawów tej konsolidacji jest układ podpisany przez Bieruta i towarzyszy w Moskwie. Propaganda warszawska rozpisuje się teraz o „wspaniałomyślności" sowieckiej, a to z powodu skreślenia długów wojennych. W rzeczywistości wspaniałomyślność Rosji polega na tym, że łaskawie rezygnuje z należności za...transport deportowanych do Rosji setek tysięcy Polaków lub za ich „utrzymanie" w łagrach. A może należało jej się coś od Polski za łaskawą zgodę na wcielenie do ZSRR połowy terytorium polskiego? W każdym razie wspaniałomyślność sowiecka jest zbyt dobrze znana, by trzeba było się o niej rozpisywać. Jednocześnie rząd warszawski szczodrym gestem zrzekł się wszelkich pretensji do pokrycia przez Rosję kosztów utrzymania milionowej armii sowieckiej, która tak systematycznie łupiła i objadała kraj.

Wszystkie te klauzule o długach, o kredytach dla Polski w złocie i różnych dostawach są tylko zasłoną dymną. Rzeczą istotną jest jeszcze silniejsze wprzęgnięcie Polski do rydwanu polityki i gospodarki sowieckiej. Na szczególną uwagę zasługuje zapowiedź uzbrajania armii Żymierskiego; świadczy ona, że Rosjanie spodziewają się móc użyć dywizji polskich, kontrolowanych przez osławionych „popów", w przyszłej wojnie z Zachodem.

W ślad za Bierutem udał się do Moskwy jego kolega — namiestnik sowiecki dla Jugosławii Tito, który niemal jawnie szykuje się do zawładnięcia siłą Triestem.

Największym jednak sukcesem dla Rosji w ostatnim tygodniu były wybory w Czechosłowacji. Czesi masowo oddali głosy na komunistów, w ten sposób zdradzając Zachód. Inne państwa strefy sowieckiej mają premierów komunistycznych czy też służalców Moskwy takich jak Osóbka czy Groza, ale nie z własnego wyboru; Czesi sami, dobrowolnie wzięli działacza Kominternu, Gottwalda jako premiera.

Prezydent Benesz może teraz rozmyślać nad swym dziełem. Sądził, że sprzedając się całkowicie Moskwie, zdoła coś uratować z demokracji czeskiej i utrzymać więzy z Zachodem. Dziś widzi, że naród nie poszedł za nim. Jeśli już Czechosłowacja ma być satelitą sowieckim, to niech będzie nim całkowicie i bez zastrzeżeń — oto logiczny wniosek, jaki naród czeski wyciągnął z kapitulacyjnej polityki Benesza, tak jak wyciągnął wniosek z jego kapitulacji w sprawie Sudetów, oddając władzę panu Hacha.

PRZYGOTOWANIA DO KONFLIKTU

Ten utrwalający się podział świata nie wróży pokoju. Każdy dziś rozumie, że jeśli stanie się ostateczny, to konflikt między Zachodem a Wschodem będzie tylko kwestią czasu.

Znany ze swych sympatii prosowieckich publicysta „News Chronicle", który bawi w Stanach Zjednoczonych, jest zaalarmowany panującymi tam nastrojami. Każdy powtarza, że nie pozostaje nic innego, jak przygotowywać się do trzeciej wojny światowej. Bardzo popularny tygodnik „Life" ogłasza artykuł, w którym stwierdza bez osłonek, że między Rosją a Zachodem nie istnieją różnice — istnieje po prostu konflikt.

Nigdy jeszcze prasa nie była tak pełna wiadomości o przygotowaniach wojennych i nowych, coraz to bardziej straszliwych wynalazkach. W. Brytania zdecydowała utrzymać tymczasem dwuletnią obowiązkową służbę wojskową, co jest sprzeczne z jej wszystkimi tradycjami. Jednocześnie W. Brytania postanowiła ofiarować Francji silne i nowoczesne lotnictwo, dopomagając zarazem do rozbudowy przemysłu lotniczego. Decyzja ta zawierała w sobie pewne ryzyko; Francja może jeszcze przecież stać się komunistyczną i tym samym okazać się wysuniętą bazą sowiecką przeciw W. Brytanii. Widocznie jednak Brytyjczycy uważali, że warto zaryzykować.

Ze swej strony Stany Zjednoczone planują zorganizowanie w jeden gigantyczny obóz warowny Półkuli Zachodniej. Żale p. Mołotowa, że Stany Zjednoczone przy pomocy Brytyjczyków chcą uzyskać sieć baz lotniczych i morskich na całym globie nie były pozbawione wszelkich podstaw.

Nic nie jest może bardziej charakterystyczne dla dzisiejszej atmosfery w świecie, jak drobna wiadomość ze Szwecji. Oto ten kraj, który zdołał zachować neutralność w dwu wojnach światowych, ale teraz znalazł się na pograniczu Zachodu i Wschodu, wprowadził znowu...ćwiczebne alarmy przeciwlotnicze!

NIE POKÓJ LECZ ZAWIESZENIE BRONI

Wszystko to nie znaczy oczywiście, że nowa wojna jest bliska. Cały szereg czynników przemawia przeciw możliwości rychłego wybuchu wojny; dość wskazać na zmęczenie społeczeństw na kryzys żywnościowy w świecie, na lęk przed bombą atomową. Z drugiej strony jednak sam fakt, że obie strony zaczynają uważać wojnę za nieuniknioną, będzie działał w kierunku jej przyśpieszenia. Albowiem wyścig zbrojeń będzie uniemożliwiał wszelki powrót do życia normalnego; ciężar jego kosztów stawać się będzie coraz trudniejszy do zniesienia; życie gospodarcze nie będzie mogło się ustabilizować; niepewność jutra i lęk przed wojną będą zniechęcały do twórczej pracy. Jeżeli wszystko i tak ma lec w gruzach, po co się wysilać? — powiedzą sobie ludzie. Aż w końcu społeczeństwa dojdą do wniosku, że trzeba z tym stanem skończyć i za wszelką cenę zapewnić światu tę jedność, która jest warunkiem prawdziwego pokoju.

W najbliższym czasie zbierze się po raz pierwszy komisja atomowa ONZ. Będą jej przedłożone bardzo słuszne projekty kontroli tej straszliwej broni, ale prawdopodobnie okaże się, że Rosja nie zgodzi się na żadną kontrolę, którąby była skuteczna. Kontrola bowiem wymagałaby poddania się decyzjom większości i otworzenia granic. System sowiecki nie przeżyłby tego. To też obrady komisji atomowej wykażą zapewne, że o skutecznej kontroli mowy dziś być nie może. Pogłębi to atmosferę niepewności w świecie.

Na tym tle trudno się dziwić, że wielka brytyjska parada zwycięstwa bynajmniej nie wytwarza w społeczeństwie wrażenia, że pokój jest zapewniony. Jak trafnie pisze w „Sunday Dispatch" świetny dziennikarz Alastair Forbes: „...Parada Zwycięstwa nie może być niczym więcej, niż dziękczynieniem za zbawienie w przeszłości, a dla Londyńczyków radosnym interludium pośrodku niespokojnego zawieszenia broni".

Tak, nie ma dziś w świecie pokoju, jest tylko zawieszenie broni.

Londyn 2 czerwca 1946.

ALEKSANDER BORAY

W oczach obcych

Brytyjski plan demobilizacji Polskich Sił Zbrojnych największe poruszenie wywołał w Szkocji, zapewne na tle fałszywej wiadomości, że Drugi Korpus tam ma być zakwaterowany. Reakcje Szkotów, znajdujące wyraz w listach do redakcji pism, świadczą, że raz jeszcze społeczeństwo podzieliło się. Obok głosów nacechowanych głębokim zrozumieniem tragedii żołnierza polskiego, nie mogącego powrócić do Kraju i chęci przyjścia mu z pomocą, odzywają się głosy wrogie, czasem podyktowane wrodzoną ksenofobią czy obawą przed konkurencją, bezrobociem, kiedy indziej po prostu — sympatiami prosowieckimi.

Jak można było przewidywać, komuniści czynią wszystko, aby pokłócić społeczeństwo i przybywających z Włoch Polaków. Już się do tej haniebnej roboty zabrali, nie przebierając, jak zwykle, w środkach. Oto próbka tych metod — wyjątki z artykułu w „Daily Worker":

„Rozpoczynają się kłopoty i będzie ich niewątpliwie więcej, na skutek decyzji rządu sprowadzenia 159.000 żołnierzy gen. Andersa, celem osiedlenia ich w Wielkiej Brytanii.

Wysuwane są przeciwko nim sprzeciwy, nie dlatego, że są oni cudzoziemcami, ale dlatego, że obcy są oni duchem tradycjom i ideałom klasy robotniczej.

O wiele lepiej zostali by powitani republikanie hiszpańscy, traktowani tak nieszlachetnie przez War Office.

Żołnierze Andersa są faszystami lub też są pod wpływami faszyzmu. Ich zaciekła nienawiść w stosunku do Związku Sowieckiego oraz do walczącej klasy robotniczej wyraża się aktami gwałtu we wszystkich krajach, w których przebywają.

Opuszczają oni swój własny kraj w momencie gdy potrzebuje on najbardziej chętnych rąk do pracy nad odbudową, nie chcąc zgodzić się na rząd, łączący liberałów i chłopów, komunistów i socjalistów".

Czytając takie paszkwile, musimy pamiętać, że komuniści są małą grupką, raczej obcą społeczeństwu brytyjskiemu. Nie wolno nam dać się im sprowokować. Trzeba też liczyć się z tym, że znowu wśród żołnierzy polskich agenci komunistyczni będą szerzyć nastroje antybrytyjskie. Cel jest jasny, wszystkie środki są dla nich dobre.

Duży natomiast odłam społeczeństwa brytyjskiego nie tai swej radości z powodu przybycia i możliwości osiedlenia się dużej liczby Polaków na wyspach brytyjskich: katolicy brytyjscy uważają to za fakt wysoce pomyślny. Tygodnik „The Catholic Herald" poświęca zagadnieniu kilka obszernych artykułów, stwierdzając na czele numeru:

„Armia gen. Andersa przybywa do Anglii. Bohaterowie spod Monte Cassino — 100.000 katolików — wraz z ich 60.000 kolegami znajdującymi się już w naszym kraju, wytworzą największy napływ katolików, jaki kiedykolwiek dopuszczono naraz do W. Brytanii".

Pismo zamieszcza wywiady z przedstawicielami różnych instytucji i organizacji katolickich na temat sposobów dopomożenia przybywającym Polakom w nowych warunkach życia. W artykule wstępnym zaś organ katolików brytyjskich pisze:

„Cieszymy się z ogłoszonego planu osiedlenia żołnierzy polskich w tym kraju.

„Ludzie ci, wraz z wielka rzeszą cywilnych Polaków, którzy znaleźli się poza granicami Polski, stanowią wobec świata żywy wyrzut sumienia za wielką zbrodnię, popełnioną za zgodą narodów sprzymierzonych, przeciw wolności i niezależności ich kraju. Oni jedynie mieli nieskrępowaną możność zgodzić się lub odrzucić zmiany graniczne oraz ustrój w jakim żyje dziś Polska.

„Minimum co można zrobić dla tych ludzi, którzy walczyli wraz z nami o wspólne ideały, prawo oraz wolność, jest dać im obecnie szanse osiedlenia się tutaj i przyjęcia ich do społeczeństwa przez ofiarowanie im obywatelstwa wolnego kraju.

„ ...Osiedlenie się Polaków w W. Brytanii nakłada duże obowiązki na katolików brytyjskich. Przybycie tych gorliwych katolików wzmocni siłę społeczeństwa katolickiego".

Tak więc jeśli mały odłam odnosi się wrogo z pobudek ideologicznych to fakt ten jest bardziej niż zrównoważony sympatią okazywaną przez znacznie potężniejszy odłam na tle religijnym.

Przyjaciele brytyjscy nie tają swego żalu z powodu tego, że Polskie Siły Zbrojne nie będą reprezentowane w paradzie zwycięstwa. Ukazały się na ten temat listy do redakcji i notatki w prasie, były interpelacje w parlamencie. Trzeba się spodziewać, że milionowe tłumy, które będą oglądać tę wielką paradę zrozumieją wymowę nieobecności Polaków. Wprawdzie o nieobecnych łatwo się zapomina, ale w tym wypadku oficjalny program wymienia polskich lotników i widzowie będą mogli się przekonać, że — ich nie ma.

O wymowie tej nieobecności pisze „Sunday Dispatch":

„Nieobecność Polaków, którzy tak dzielnie walczyli pod Cassino i w Normandii uwypukli trwającą martyrologię ich nieszczęśliwego kraju".

Sądzimy, że uwypukli także problematyczność zwycięstwa w wojnie, podjętej wszak w imię obrony niepodległości Polski.

LECTOR

Polska pod okupacją: wokoło Moskwy

W MOSKWIE — U ŹRÓDŁA NATCHNIEŃ

Pod koniec maja br. delegacja rządu warszawskiego wyjechała do Moskwy. Po odbytych naradach ze Stalinem i Mołotowem ogłoszono komunikat, w którym podano, że Polska otrzyma od Związku Sowieckiego pomoc finansową, uzbrojenie i przyśpieszenie zaopatrzenia w żywność. Stwierdzono ponadto, że były omawiane stosunki handlowe, kulturalne, zagadnienia repatriacji i sprawa Niemiec.

Niewątpliwie poza tym, co podaje komunikat oficjalny dyskutowano i inne sprawy, o których dowiemy się dopiero później z różnych pociągnięć reżimu w polityce wewnętrznej kraju. Dziś zwraca uwagę specjalną skład delegacji, która udała się do Moskwy oraz fakt wyjazdu delegacji nagle — co podkreśla prasa warszawska — i rozgłos propagandowy, jaki temu wyjazdowi nadały czynniki oficjalne.

Do Moskwy, która stała się źródłem natchnień dla „nowej Polski" poprzednio dość często wyjeżdżali dygnitarze warszawscy. Po raz pierwszy jednak teraz udano się w tak licznym składzie: prezydent i wiceprezydent Krajowej Rady Narodowej, premier i wicepremier, trzech ministrów i trzech wojskowych. Trudno sobie przypomnieć w historii dyplomacji na zachodzie Europy przykład podobnie silnej delegacji jednego suwerennego państwa w odwiedzinach u drugiego państwa.

Ponadto charakterystyczne jest, że do Moskwy pojechali sami „swoi". Nie był tam ani drugi wicepremier Mikołajczyk, ani drugi wiceprezydent KRN prof. Grabski. Aczkolwiek, gdyby wierzyć wyłącznie słowom oficjalnego komunikatu, tematem rozmów były tylko sprawy ogólno-państwowe, nie chciano jednak mieć świadków niekomunistycznych.

Przypuszczenie, że w Moskwie zajmowano się raczej sprawami wewnętrzno-politycznymi Polski potwierdza fakt, że w naradach na Kremlu nie brał udziału ani minister spraw zagranicznych Rzymowski ani wiceminister Modzelewski, który w tym czasie urzędował w Warszawie. Normalnie przy rozmowach między jednym państwem a drugim biorą udział ministrowie spraw zagranicznych. Czyżby stosunki między Sowietami a Polską reżimu komunistycznego były tego rodzaju, że takie zasady nie obowiązują?

PRZECIW ZACHODOWI

Jednym z doraźnych celów wizyty moskiewskiej było zdobycie przez reżim osóbek jeszcze jednego argumentu w walce propagandowej przeciwko Zachodowi. Chodziło o pokazanie społeczeństwu polskiemu, że może ono liczyć na pomoc tylko ze Wschodu. Wyraźnie to można wyczytać w komentarzu oficjalnej „Rzeczpospolitej", która pisze:

„Nasz sojusznik radziecki dał lekcję poglądową, że za krew i wkład narodu polskiego nie płaci się gierkami politycznymi, ale pomocą w budowie suwerennego państwa. Ci, którzy sądzili, że przez uchylenie z błahych powodów pożyczki amerykańskiej lub zmniejszenie pomocy UNRRA'y można wzmocnić pozycję żywiołów antydemokratycznych, można wzmocnić nacisk na nasz rząd, ci, co przypuszczali, że można widmem głodu lub trudności gospodarczych wymuszać na Polsce koncesje polityczne i wtrącać się w nasze sprawy wewnętrzne lub traktować Polskę, jako monetę wymienną w rozgrywkach międzynarodowych — ponieśli klęskę i otrzymali nauczkę".

To, że pożyczka amerykańska nie doszła do skutku z powodu niedotrzymania przez rząd warszawski warunków, to że pomoc UNRRA'y zmniejszona była z tego powodu, że administracja warszawska zaniedbała przesłać na czas odpowiednie zapotrzebowanie — to gazeta reżimu przemilcza. Komuniści w Polsce boją się wszystkiego, co przychodzi z Zachodu; wolą pomoc ze Wschodu, nie mówiąc, że za to Polska płaci najistotniejszymi interesami narodowymi.

Po wizycie warszawskiej do Moskwy przyjechał Tito jugosłowiański. Rosja montuje swój blok wschodni, zbroi go hojnie. Przeciwko komu? Niemcy są przecież pobite i chyba w dzisiejszym stanie nie grożą bezpieczeństwu sowieckiemu.

CO ROBILI DEPORTOWANI W ZSRR?

Według czasopisma „Przekrój" 1.887,441 Polaków w ZSRR zarejestrowało się na powrót do Polski, w tym tylko 63.705 przypada na odległą Rosję, reszta to mieszkańcy terenów objętych granicami Polski przedwojennej. Do tej pory do kraju miało powrócić ze Wschodu około miliona Polaków.

Przy okazji tego powrotu dowiedzieliśmy się parę ciekawych szczegółów, co Polacy przez lata wojny robili w ZSRR. Oto komunistyczny „Głos Ludu" podaje treść następującej depeszy, którą repatrianci polscy z obwodu saratowskiego mieli przesłać do generalissimusa Stalina:

„Polacy obwodu saratowskiego, wyjeżdżający do nowej demokratycznej Polski, ślą Panu, wielkiemu wodzowi narodów ZSRR i najlepszemu przyjacielowi narodu polskiego, wyrazy najlepszego szacunku, szczerej wdzięczności i serdecznego pozdrowienia.

„Żegnając dziś ziemię radziecką w drodze powrotnej do ojczyzny, prosimy przyjąć nasze podziękowanie za g o ś c i n ę".

Swego czasu znów radio moskiewskie podało przebieg zlotu Polaków, szykujących się do powrotu do kraju, a pracujących dotąd w kopalniach węgla obwodu mołotowskiego na Uralu. W czasie zlotu wygłoszony został referat, w którym stwierdzono, że:

„...kopalnie radzieckie były dla polskich górników szkołą zawodową i życiową i przyniosły one nieocenioną pomoc młodym kadrom polskich górników, co z korzyścią będzie zrealizowane po powrocie do ojczyzny...Dzięki ofiarności radzieckich majstrów górnicy polscy nauczyli się pracować".

Tak więc nareszcie dowiedzieliśmy się poco deportowano Polaków do Rosji Sowieckiej w latach 1939/40. Była to „gościna", w czasie której uczono Polaków pracować.

Z powodu 3-dniowych uroczystości angielskich na t.zw. „V-day", następny numer „Polski Walczącej" będzie rozesłany z jednodniowym opóźnieniem.

POSZUKIWANIE

Matka prosi o wiadomości o Andrzeju ROSS, ur. 7.6.1921 w Kielcach, synie Karola i Hildy. Brał udział w powstaniu warszawskim na Mokotowie. B. słuchacz Wydz. Chemii Politechniki Warszawskiej. Wiadomość proszę skierować pod adres: B. ŁOZIŃSKI, 5, Church Street, Epsom, albo M. ŁOZIŃSKA, Polish Para Bde P/85, B.A.O.R.

ŻALE PPŁKA ZELENINA

„Polska Zbrojna" zamieszcza list, który otrzymała „od podpułkownika Armii Czerwonej Zelenina, powracającego do ZSRR". W liście tym pan podpułkownik żali się na niedomagania w hotelu oficerskim w Warszawie przy ul. Karowej:

„Przyjezdnych — żali się m.in. ppł. Z. — rozmieszcza się na chybił trafił, nie licząc się ze stopniem — szeregowi i wyżsi oficerowie śpią w jednym pokoju. Chcesz się umyć, musisz stać w długim ogonku przed umywalnią...

„Specjalną uwagę trzeba zwrócić na stołówkę Czyżby nie można zorganizować przy niej bufetu, aby oficerowie nie musieli biegać po bułki i tym podobne drobiazgi!"

Tak to oficer sowiecki skarży się na niewygody w zrujnowanej Warszawie, gdzie ludzie mieszkać muszą w norach. Musi on „biegać po bułki", gdy ludzie w Polsce nie mają co jeść, o ile nie należą do klasy wybranych.

Jedną mamy radę na te zmartwienia dla ppłka Zelenina: niech więcej nie przyjeżdża do Warszawy i niech to powie też swoim kolegom z Czerwonej Armii!

STYL — TO CZŁOWIEK

Oto parę „złotych myśli" wyłuskanych z prasy reżimu.

Pismo „Wolność" o Beveridge'u:

„Beveridge, rycerz o haniebnym obliczu nie jest jedynym stręczycielem przerzucającym kładkę między „demokracją" a „faszyzmem".

Wicewojewoda Bożek o Andersie:

„Znam Andersa. Ten watażka, w którym niektórzy chcą widzieć wodza narodu nie jest zdolny do prowadzenia jednej kompanii".

„Dziennik Polski" w wezwaniu emigracji do powrotu:

„Pracujemy nie dla nieboszczyków we frakach obwieszonych medalami, ale dla żyjącej i budującej Polski".

Uchwała Zjazdu Samopomocy Chłopskiej:

„Szlacheckie warchoły, na rozkaz ludzi, którzy w Londynie bawili, gdy kiedy naród z orężem wystąpił do boju, a po tym budował niepodległą Polskę...usiłowali od dawna rozbić jedność narodu. Ta krecia rozbijacka robota pana Mikołajczykowych warchołów poniosła sromotną klęskę".

Taki jest styl, język i argumentacja obecnego reżimu w Polsce.

TADEUSZ NALER

Berlin — najwrażliwszy punkt Europy

Nasz pociąg wyrusza z Bad Oyenhausen — wojskowej stolicy zony brytyjskiej w Niemczech. Jedzie się wygodnie, nawet komfortowo, a z chwilą przekroczenia granicy sowieckiej, co dla naszego pociągu służbowego odbywa się niemal niespostrzeżenie — ten pociąg z sypialnymi wagonami i wozem restauracyjnym, jasno oświetlony, przytulny, przepojony atmosferą życia brytyjskiego, staje się raptem podobny do okrętu. Teraz otacza nas obcy żywioł, ogromny, nieprzyjazny, tajemniczy. Okna pociągu, jak podczas wojny, starannie zasłonięte firankami, a uzbrojona straż czuwa, wpatrzona w mrok nocy. Naszym celem jest — Berlin, mała wysepka europejska, rzucona na czerwone morze.

Świadomość, że przeniknęliśmy poza „żelazną kurtynę", działa na nas podniecająco. Chociaż jestem zmęczony, a późna pora nocna i wygodne łóżko w przedziale wzywają mnie na spoczynek, nie mogę oderwać się od okna. Zgasiłem światło, uchyliłem firanki i łowię w przerwach ściany lasu wzniesionego z mroku i jasnej poświaty księżycowej — objawy życia w zonie sowieckiej.

Już tyle czasu spędziłem w okupowanych Niemczech, ale wschodnia ich część tworzy pustkę w mojej wyobraźni. To nie znaczy, aby nie było żadnych wiadomości z tamtej strony. Popularne określenie „żelazna kurtyna" nie odpowiada prawdzie, bo to jest normalna kurtyna teatralna, która podnosi się na czas trwania przedstawień urządzanych przez propagandę sowiecką, pokazuje tylko to, co jest przed dekoracjami, i bynajmniej na wypadek pożaru — nie chroni widzów od ognia.

Ale nie wpadajmy w przesadę. Chociaż propagandzistów sowieckich stać na niebywały rozmach, nie posądzam ich, aby wznieśli tę ścianę lasu zasłaniającą mi widok z okna wagonu, aby zawiesili ten księżyc na niebie dla osrebrzenia nędzy ludzkiej jedynie na czas naszego przejazdu, aby kazali pozapalać światła, migocące wśród rozrzuconych farm i wiosek — w celu podkreślenia atmosfery sielskiego życia. Dlatego, chociaż ten krajobraz nocny w zonie sowieckiej nic mi nie mówi i jest taki sam, jak i w innych zonach, patrzę na niego z zachłanną ciekawością. Jest bowiem jedną z niewielu rzeczy prawdziwych, jakie mogę oglądać za kulisami wielkiej sceny.

Jest już 2-ga godzina nad ranem, kiedy cały zamieniam się we wzrok. Zbliżamy się do dużego miasta — Magdeburg. Pociąg, jak zawsze w podobnych wypadkach, zaczyna przeskakiwać z toru na tor, mijać budki, zwrotnice i sygnały. Wreszcie przystajemy przy podmiejskiej stacji i pierwsza rzecz, jaką widzę, to samotnie stojący wagon towarowy z...polskim orłem i literkami „P.K.P."

Mógłbym się rozrzewnić, ale w tejże chwili wyszedł zza niego uzbrojony żołnierz sowiecki, w rubaszce, w okrągłej czapce, wysokich butach i bryczesach. Jest niski, korpulentny, wyprostowany i sztywny. Oddala się szybko drobnym kroczkiem, a że to dzieje się w półświetle, przypomina mi nagle żołnierza — japońskiego.

Ruszamy dalej, ku dworcowi osobowemu. Tam dłuższy postój. Niemieccy kolejarze z naszego pociągu — bo koleje w całych dzisiejszych Niemczech posiadają obsługę niemiecką — wychodzą na peron. Natychmiast otacza ich tłumek cywilnych podróżników. Nie wiem, o czym szepczą ci Niemcy spod różnych zaborów. Po chwili tłumek się rozprasza i słyszę jakąś piosenkę, nuconą półgłosem. To dwu żołnierzy sowieckich przechodzi wzdłuż peronu.

Jak na późną noc, życie na nim jest nader ożywione. Ludzie w poszarzałych ubraniach szwendają się tu i tam lub drzemią po kątach na walizkach i tobołach. Ale nie wszyscy wyglądają na podróżnych, bo wielu z nich wywiera wrażenie spacerowiczów, bezdomnych lub poszukujących nie wiadomo czego. Będąc przyzwyczajony do tego widoku w innych zonach dziwię się tylko, że to dzieje się tak późno w nocy. Nie wydaje mi się, aby to byli ludzie zaskoczeni na stacji przez godziny policyjne.

Podczas dalszego objazdu miasta obserwuję, że wiele domów, wielkich bloków, nieraz całych kwartałów, jaśnieje od świateł palących się niemal we wszystkich oknach. Czy ludzie tutaj nie śpią w nocy? Szczególnie jasno świecą się niektóre zabudowania przy torze kolejowym, ale to jest zrozumiałe, bo mieszczą się tam jakieś składy i magazyny — strzeżone przez uzbrojone warty.

Pociąg mija szlaban pilnowany przez sowieckiego wartownika. Przy nim czeka gromadka Niemców, młodzieńców i dziewcząt zajętych wesołą rozmową. Wszystkie te obserwacje jakoś kłócą się ze sobą i na podstawie ich nie mogę wyrobić sobie jakiejkolwiek opinii.

Pociąg znów przystaje. Niemiec — jego kierownik schodzi do samotnie stojącej przy torze budki telefonicznej. Za chwilę już wiem o co mu chodziło. Oto powoli wjeżdżamy na długi, wysoko nad wodą zawieszony, most na Elbie. Częściowo zniszczony i podreperowany, skrzypi i kołysze się, a patrząc z niego w przepaść pod oknami można sobie wyobrażać różne nieprzyjemne niespodzianki. Wreszcie most się kończy i znów zapadamy się w las. Ogarnia mnie sen, którego już nie mogę zwalczyć.

Obudził mnie bezruch i cisza stojącego pociągu. Wyglądam przez okno i widzę w szarym świetle wczesnego ranka policjantów niemieckich przechadzających się dwójkami wzdłuż naszego pociągu. Strzegą nas od strony trawiastego nasypu i szczerbatych ruin wielkich bloków mieszkaniowych, bo jeszcze nie skończyły się nocne godziny policyjne i ulice należą do zbrojnych straży i — rabusiów. Jesteśmy w Berlinie.

Stolica byłej Rzeszy jest jednym z najdziwaczniejszych miast dzisiejszej Europy. Jak wiadomo — z punktu widzenia politycznego, tworzy wyspę wewnątrz zony sowieckiej w Niemczech, przy czym ta wyspa jest podzielona na cztery sektory okupacyjne: sowiecki, brytyjski, amerykański i francuski, — lecz pod względem samorządu niemieckiego przedstawia jednolity twór, będący pod wspólnym nadzorem Alianckiej Komandantury.

Kiedy ranek spędza z ulic nocne patrole, pilnujące porządku w tym mieście wszelkich nieprzyjemnych możliwości i zaczyna się dzienne życie — świeży przybysz, zaprzątnięty swoimi myślami, mógłby w pierwszej chwili nie zwrócić uwagi, że w poszczególnych częściach miasta rządzą się różne siły alianckie. Przejścia z sektoru do sektoru są zupełnie swobodne, jedynie tablice informują, że kończy się jedna władza, a zaczyna — druga.

Wszędzie są te same ruiny, wszędzie nowe życie stara się przytulić do nich, wszędzie widzi się biedotę ludzką, a na jej tle szczęśliwców, których mniej dotknęły zniszczenia wojenne. Równie wszędzie jest tak samo wyglądająca policja niemiecka, te same racje żywnościowe dla tubylców, ten sam czarny rynek, sklepy sprzedające tandetę, kawiarnie podające imitację piwa i inne lokale rozrywkowe ułatwiające — prostytucję.

I wszędzie spotyka się okupantów z czterech sektorów. Oczywiście każdy z nich trzyma się raczej swojego sektoru, ale grupki Amerykanów i Brytyjczyków szwendają się, szczególnie dla celów turystycznych, po sektorze sowieckim, zwiedzając sławne ruiny, jak np. gmach kancelarii Hitlera, a żołnierze sowieccy lubią spacerować koło pomnika Armii Czerwonej, wystawionego w b. Tiergarten (obecnie puste pole przeorane bombami), w sektorze brytyjskim. Ale również zapuszczają się, nieraz uzbrojeni, w głąb obcych sektorów, a oficerowie sowieccy rozbijają się po całym mieście zdobycznymi samochodami cywilnymi.

Słowem międzyaliancka sielanka. Ale to tylko tak wygląda. Rzeczywistość natomiast szybko nauczy świeżego przybysza, aby w sektorze sowieckim miał się na baczności. Najwięcej o tym mogą powiedzieć dziennikarze z Zachodu, których zawód wymaga, aby obserwowali i wnikali w życie. Wystarczy bowiem w sektorze sąsiada ze Wschodu porozmawiać na ulicy trochę dłużej z Niemcami, wystarczy zacząć fotografować najniewinniejsze scenki uliczne, wystarczy w pojedynkę zabłąkać się w odludnej ulicy, aby doświadczyć przyjaznego stosunku władz sowieckich. Aliancki mundur, odpowiednie legitymacje, nawet posiadanie samochodu wojskowego nie zawsze wybawią z kłopotów i nie uchronią od aresztowania, gburowatych indagacyj, pogróżek. Jeżeli — jak podała brytyjska prasa — nie uniknął tego losu w Berlinie p. Martin, redaktor filosowieckiego „*The Statesman and New World*" — to łatwo sobie wyobrazić, co przy podobnym pechu spotkałoby korespondenta... „Polski Walczącej". Miałem jednak szczęście, bo moja znajomość z tymi aliantami ograniczyła się jedynie do tego, że w czasie zwiedzania ruin siedziby Hitlera jakiś enkawudzista zastąpił drogę naszej międzynarodowej grupce dziennikarzy i nie wiadomo za co nakrzyczał na nas: — „Co wy tu robicie?... Co wy tu chcecie?..."

Brytyjczycy te i podobne niezliczone incydenty starają się cierpliwie wytłumaczyć jakimiś starymi urazami Rosjan, wrodzoną chropowatością charakteru i proletariackim stylem bycia. A mnie wciąż stoi w oczach obraz żołnierza sowieckiego w Magdeburgu — który przypomniał mi Japończyka. W Japonii przed wojną również nie znoszono Europejczyków i Amerykanów, również podejrzewanie o szpiegostwo doprowadzono do obłędu, również starano się odgrodzić wysokim murem od białych. To są wspólne cechy dla wojującej Azji.

Wyobrażam sobie, jak denerwujące jest dla władz sowieckich istnienie alianckich sektorów w Berlinie. Jak Rosjan muszą drażnić mundury zachodnie, nasz sposób zachowywania się, nasze samochody, aparaty fotograficzne i...zegarki. Jak ich musi krępować potrzeba przybierania maski europejskiej! Widać to w naszych sektorach miasta po zachowaniu się każdego niemal żołnierza sowieckiego, jak zatracają wszelkie swobodniejsze odruchy, nawet uśmiech, przybierając pozę napuszonej powagi.

Berlin jest miastem bardzo zniszczonym, szczególnie reprezentacyjna część, śródmieście, leży w gruzach. Berlińczycy żyją ciężkim życiem pokonanych i za cenę wegetacji chętnie służą każdemu. Na tym cmentarzysku domów i charakterów spotkały się cztery narody, aby zgodną współpracą nie tylko rządzić Niemcami, ale i usymbolizować jedność zwycięskich mocarstw i wolę ugruntowania „wiecznego pokoju".

Tymczasem to współżycie ogranicza się jedynie do mniej lub więcej poprawnej oficjalnej współpracy i to jeśli chodzi o sprawy administracji raczej drugorzędnej wagi. Natomiast na polu zagadnień zasadniczych, jeżeli chodzi o politykę, o reedukację narodu niemieckiego i t.p. — stanowiska obu stron są tak biegunowo odmienne, że raczej można mówić o walce, a nie współpracy.

Uwidacznia się to chociażby w obfitości czasopism w języku niemieckim, oczywiście kontrolowanych, bo prasa ze względu na łatwość cyrkulowania po mieście jest najłatwiejszą formą oddziaływania na stronę przeciwnika. To współzawodnictwo może zakończyć się spokojnie jedynie rezygnacją jednego z współpartnerów.

Nie wydaje mi się, aby wyspę Berlina wymalowano trwałą farbą na mapie Europy. Zamiast przeistoczyć się w oazę miłości alianckiej, Berlin stał się jednym z najwrażliwszych punktów na globie.

ROMAN ROK

Humor u „Dipisów"

(Przed rokiem „zakończona wojna" nie tylko wymyśliła takie uczone słowa jak: „fraternizacja" i „repatriacja", ale odkryła nowy szczep w Europie. Szczep „Dipisów". „Dipisów" nazywają niektórzy uczeni białymi Zulusami. Ich nieślubną matką jest pewna bliżej nieznana Karta Atlantycka. Jest to więc szczep Pogrobowców. Zamieszkują oni ruiny byłego państwa niemieckiego i odżywiają się nadzieją i unrra-kaloryzacją.)

Nie myślcie jednak, że my „Dipisy" spuściliśmy w barakach i obozach nasze „dipisowskie" nosy na kwintę. Choć nam głodno, chłodno i do Polski daleko, nie czepia nas się żadna czerwonka i nie dostaliśmy jeszcze żółtaczki.

Znacie M a c z k ó w? Ten pępek „dipisowskiego" świata? Maczkowski trubadur tak o nim śpiewa:

„Maleńki Maczków —
port nieboraczków
przybyłych tu
ze wszystkich świata stron,
tu jest ta Mekka
nad Emsu rzeką,
gdzie człeka czeka
dom i własny kąt..."

To nieprawda, co niejaki pan Fedorowicz naślinił w warszawskiej „Rzeczypospolitej", że u nas, w gnieździe faszyzmu, ludzie snują się jak cienie, że dzieci się u nas nie śmieją, a naród tak się rozleniwił, że mu się już nawet samogonki pędzić nie chce.

Wchodzimy do szczelnie nabitej sali kina „Polonia" w Maczkowie. Tubylcy w charakterystycznych kożuszkach króliczych biją brawa i rżą, że aż przeciąg po miasteczku wieje! Z „bauerowskiej" obory na błyszczące, ale nie zawsze ciepłe światło anglosaskiej wolności wyprowadzeni fornale zacierają spracowane łapy, a niemowlęta (już powojennej produkcji) kwilą w takt domorosłej kapeli.

Na scenie rozgrywa się paszkwil na dymisjowanego komendanta policji obozowej. Miejscowy satyryk z typową dla poetów niechęcią do policji, nie zostawił na przedstawicielu władzy suchej nitki. Ośmieszony Rinaldo-Rinaldini leży na czterech łopatkach i kwiczy. W to naszemu narodkowi graj! Ale mu dał! Cholera!

Zdetronizowany za swój al-caponizm „glina" śpiewa:

„Dzierżynski to był pętak,
Himmler laikiem był,
lecz nas świat popamięta,
gdy bimber doda sił! ..."

(Co to jest — „bimber" państwo dobrze wiecie. Z Anglii do Maczkowa nie jest wcale tak daleko. Nasz produkt eksportowy cieszy się coraz lepszą opinią wyspiarskich i podróżujących ekspertów.)

Sześcioletni berbeć w mundurze pancerniaka piszczy z rumieńcem tremy na niedożywionej buzi:

„Gdy pułk Szkopów pewien rycerz
na kwaśniutkie jabłko zbił,
Maczków dał nam na stolicę,
tym rycerzem Maczek był.
Choć na świecie
wszyscy wiecie
jest ponuro —
tylko pętak
przy lamentach
spędza czas..."

Cała sala śpiewa! Budujący wyścig: kto głośniej? Orkiestra, czy widownia? Wygrywa rozbestwiona publika.

Wchodzi czterech kosmatonogich dryblasów w spódniczkach khaki. Śmiały łuk brwi. Niepokojąco czerwone usta. W serduszko. Klatka piersiowa odpowiednio rozbudowana wylewa się poprzez rampę. Swojskiego chowu chór oj-dana po pokazie musztry obozowej, jakiej sam Konstanty na Saskim Placu nie podziwiał, zrobiony na popularne, ale nie zawsze tu lubiane Akaczki, śpiewa:

Paczka małych Akaczek
dostała z UNRRY paczki,
niektóre się przejadły:
zostały cztery Akaczki.

Cztery małe Akaczki,
miały „zębostan" zły,
leczyła je Rytlowa:*
zostały tylko trzy.

Trzy małe Akaczki
rozbiły jeepem się,
jedną się zajął szpital:
zostały tylko dwie.

Z dwóch małych Akaczek
jedna Andersa krewna,
więc zabrał ją do Rzymu,
została tylko jedna.

Jedna mała Akaczka
wpadła w dywizję Maczka
i już po paru latach
była Akaczek paczka...

Mały Misołek-kręciołek, syn Ryszarda Kiersnowskiego, szaleje za kurtyną. Sznurek się urwał od agrafkami spiętych koców, naśladujących zasłonę. Kapelmistrz oszołomiony tym zajściem próżno próbuje wyzwolić się spod kurtynowej zasadzki. Sala kona w konwulsjach. Nikt nie przypuszcza, że tego naprawdę nie było w programie. Jakaś pani musi wyjść. Proboszczowi łzy kapią na czubki nowych butów.

Tylko spokój może nas ocalić! Panna w maczkowskim folklorze wchodzi na scenę. Z paluszkiem do góry. Za nią—drogowskaz. Pianista poprawił sobie włosy: zaczynamy! „Ballada o auto-stopie".

„Mijają jeepy i ciężarówki, słońce wysoko nad Ems się wspina, z koroną kurzu nad biedną główką, z rączką do góry stoi dziewczyna. Jako ten posąg przed Nowym Jorkiem, lecz nie wolności, a — zapomnienia"...

„...przejechał pierwszy, nie spojrzał wcale, ba — jeszcze dodał jeepowi gazu, przejechał drugi pancerny walet i się obejrzał pewnie z trzy razy..." „Trzeci uśmiechnął się po angielsku, choć pralnię mieli pod Biłgorajem, czwarty mknie z misją obywatelską (setką po koniak), więc też nie staje..."

*) Miejscowa dentystka.

Stoi sobie od świtu do zmroku opuszczone „Dipisiątko" i żadna siła zbrojna nie chce się ulitować nad jej komunikacyjną niedolą.

„Szczęściem od Boga furą w dwie krowy przejeżdżał drogą szkop jakiś świecki i — zabrał dziewczę, czyli że słowem: los jednak czuwa nad polskim dzieckiem"...

Kurtyna, oklaski, kaprale na widowni ostentacyjnie nie klaszczą. Stosunek wysiedleńców do pierwszej pancernej jest naprawdę serdeczny. W imię wzajemnej sympatii i szczerej zażyłości czasem ktoś komuś pluskiewkę wetknie. Tubylcy są ludźmi pojętnymi. Co im z dalekiego świata przywieziono, jak na białych murzynów przystało, wchłonęli w siebie natychmiast. Słowa: „*okey*" i „*sorry*" nie schodzą im z ust.

W jednym ze skeczów panna Andzia pozdrawia pana Antosia:

— „*Okey* panu Antosiowi!"...

Pyta się tedy pan Antoś, który dopiero co z kraju się wyeksrepatriował i tutejszego obyczaju jeszcze nie zna:

— „Skąd się panna Andzia tak szybko po angielsku naumiała?".

— „Musiemy, panie Antoś. Musiemy wszystkie, bo jezdemy przecież teraz... okupowane..."

Co to jest to „jejich" „*sorry*" też sobie panna Andzia dobrze nie przypomina. Ilekroć ją jednak pan plutonowy jeepem z zabawy pod dom przywoził, zawsze jej pod drzwiami „*sorry*" na pożegnanie szepnął...

Na terenie 1. Dyw. Panc. Polki się kończą! Która miała wyjść zamąż, już wyszła. Młode dziewczęta nie rosną tak szybko, jak szybko pancerniacy radziby po tych wszystkich życiowych wędrówkach i przygodach wojennych na ślubnym stanąć kobiercu (— „potem łzami zalać się"). Po prostu nie nadążają.

Czego się nie robi, aby panieńskie niedobitki zachęcić do tanecznej zabawy, tej matrymonialnej freblówki. Specjalne patrole przeczesują teren z różdżkami czarodziejskimi. Likwiduje się najzatwardzialsze rezerwaty staropanieństwa. Auta ciężarowe czekają przed kościołem. Komitet zabawy gwarantuje paniom kolacje na miejscu i odwiezienie do domu (w całości). Na murach wiszą zaproszenia i apetyczne plakaty.

Miejscowy satyryk parodiuje formułkę zaprosin:

„Pan w wieku od lat 15-28, wymyty amerykańskim mydłem, buciki wyczyszczone, objętość w talii: 25 cm, w pęcinie: 7, bez opieki rodzicielskiej i bez przeszłości, w celu wspólnej wymiany myśli, zaprasza 10. P.S.K. na zabawę taneczną, na krzyżówkę. Jeep będzie oczekiwał przed kościołem. Gorącą wodę na herbatę wydaje

KOMITET".

Histeryczni społecznicy załamują ręce po obozach nad tak zwanym „wzajemnym nie-rozumieniem się". Że niby: „dwa różne światy".

Wy—biały chlebek, my—szczaw. My „cierpieliśmy tak strasznie", a wy — „walczyk z damą z lewej rączki!" „Obcy nam jesteście", „brak nam wspólnego „języka" i t.d. Pogodni rymokleci obozowi nie omijają i tego tematu:

Na melodię: „Czemu ty, dziewczyno, pod jaworem stoisz?" pyta jeden z nich:

„Czemu wy z dywizji wciąż mówicie „sorry"
czemu wciąż ziewacie, czy z was który chory?
How, how, how, how, do you do,
how, how, how, how do you do...

My nie mamy w rodzie Jerzego Piątego,
my ubodzy krewni herbu Rudnickiego
How, how...i td.

Wy tracicie funty w Brukseli i Hadze —
i my je tracimy, lecz na własnej wadze...

Bardzo nas zaszczyca ten wasz miły pobyt,
tylko się wyleczcie z angielskiej choroby!...

W Maczkowie było kiedyś kino. Z tym kinem to było całe kino! A jak się stało — opowiem. (Śpiewa się na melodię: „Ty pewnie nie wiesz o tym, dziewczyno".)

„Ty pewnie nie wiesz o tym, dziewczyno,
że tu w Maczkowie mieliśmy kino — okey!

Lecz operator — jak powiadają —
zabrał aparat z sobą do kraju — a fe!

I teraz kina nie kręcą wcale,
lecz się przed kinem kręcą kaprale — oho!

Każdy z kaprali ma swój aparat,
co wszystkim pannom serca rozpala — ojej!

Jest to aparat fotograficzny,
w miłości przyrząd bardzo praktyczny —
o tak!

Zwykle po paru udanych zdjęciach
panna ma dziecko, matka ma zięcia — hm, hm
Jeśli usłyszysz „Veni Creator",
wszystkiemu winien jest operator — no tak!"

Maczkowscy wesołkowie, choć siedzą na kuferkach i nie wiedzą dnia ani godziny, hemarzą na wszystko i na wszystkich. Nie zawsze im się udają te ich Hemaroidy, ale wbrew przysłowiu, są prorokami w swoim miasteczku.

Bo i tematów nie brak! Im mniejsze miasteczko, tym ich więcej. Jest u nas przecież szpital z trzema lekarzami, jest apteka, w której truciznę na szczury sprzedają po „uprzednim zbadaniu przez lekarza" (kogo?), jest w drodze pięcioprzymiotnikowego głosowania wybrana Rada Miejska (trzeba było widzieć te pochody przedwyborcze z transparentami), jest osławiona Ciocia UNRRA (rym do Unrrze — „umrze"), na aptekarskiej wadze wydzielająca porcje „Dipisom", są tu krawcy i szewcy poniżej tysiąca papierosów nie kalający swych rąk robotą, jest popularny kwatermistrz, brzydzący się protekcją, jak Święty Michał diabłem, są dwie święte pańskie: „Repatryjacyja" i „Fraternizacyja" — dwa nowotwory złośliwe „dipisowskiego" żargonu, jest szatański wynalazek powojenny zwany kaloryzacją, jedyne skuteczne nań antidotum: czarny handelek (dwa kilo kawy za prosiaka), no i są ostatni Mohikanie przedwojennych dobrych czasów, zwani „mamutami wrześniowymi" albo „Pewuiksami", których poznasz po naszych starych rogatywkach, wpadniętych policzkach i zamyślonych oczach.

Trudnią się oni u nas przeważnie belferką i pracują z zapałem iście judymowym, z dala od wszelkich uciech tego świata, niczym wygrzebany z zapomnienia zakon kartuzów czy trapistów. Obok nich przepływa buńczuczne życie.

„Gaweł i Paweł w jednym byli pułku.
Paweł spokojny nie wadził nikomu
i — został w domu.

Gaweł zaś różne wyprawiał swawole
i — wsiadł na kolej.

Paweł w oflagu siedzi w pokorze.
Gaweł zaś z męstwa słynie za morzem.

Mijają lata dłuższe od wieków —
Paweł za kratą schudł jak aptekarz.

Gaweł nie w Monte, ale w kasynach
znalązł zakątek w smutku godzinach.

Paweł i Gaweł w jednym byli pułku —
Paweł żył szczawiem, Gaweł zaś — bułką.

Dziś — kiedy Gaweł ludzkość wybawił,
Paweł nie szczawik gryzie, lecz trawę..."

Ileż nietajonego podziwu żywi Maczków dla masywnych postaci naszych wachmistrzów i ogniomistrzów:

„Ojciec ogniomistrz kocha dzieci swoje,
a ma ich przeszło sto dwadzieścia troje!
Hej-że, dzieci, hej-że ha! Tato żonę w
Polsce ma!

Francuskie w Paryżu, a szkockie w
Glasgowie,
niemieckie pod Munster, a polskie w
Maczkowie —

Hej-że, dzieci, hej-że, ha! Tato żonę w
Polsce ma!"

Tak żartuje i dowcipkuje małe polskie miasteczko wśród niemieckich torfowisk, odkąd pod opiekuńczymi skrzydłami naszego żołnierza odzyskało po nocy koszmarnej niewoli pogodny uśmiech.

Humor humorem, a co potem? Potem — jak śpiewa w uniesieniu cała sala w piosence finałowej na góralską nutę:

„Hej, jedziem w świat, tam gdzie człek
człekowi brat,
hej, jedziem w świat, w świat bez strachu
i bez krat,
Lepiej marznąć nam i pościć,
niż żyć w Kraju bez wolności, hej!"

TADEUSZ NOWAKOWSKI

PORADNIK ZAWODOWY

Kpr. M.S.
Ostatnio ukazało się zarządzenie władz wojskowych, umożliwiające zdawanie egzaminów czeladniczych i mistrzowskich. Zarządzenie takie otrzymali wszyscy dowódcy jednostek; będzie ono podane żołnierzom do wiadomości.

St. strz. J.P.
Każdy kandydat na czeladnika lub mistrza przejdzie 4-8 tyg. kurs odświeżający w jednym z 4-ech Centrów Szkolenia, zanim przystąpi do egzaminu. Kurs taki składać się będzie z części teoretycznej i praktycznej. Należy się zgłosić drogą służbową.

Kpr. W. R.
W sprawach przyjęcia na kurs obsługi i naprawy maszyn rolniczych, należy zwrócić się pisemnie, drogą służbową do Samodzielnego Wydziału Szkolenia Zawodowego I Korpusu.

Kan. O. T.
Istnieją kursy wyrobu zabawek z drzewa i metali. Trzeba wnieść prośbę o przyjęcie do Samodz. Wydz. Szkolenia I Korpusu.

Strz. B. H.
Nie ma możliwości zorganizowania wojskowego kursu rzeźnickiego na terenie W. Brytanii. Kurs taki wymaga przede wszystkim praktyki w uboju bydła, rozbiórce na części, konserwacji i w wyrobie wędlin. Jedynie można wyrobić sobie praktykę w brytyjskim warsztacie rzeźnickim i starać się o odkomenderowanie.

Plut. S. K.
Szczegółowy program nauki wyrobów skórzanych został opracowany i wysłany do oddziałów. Wkrótce ukaże się podręcznik z tej dziedziny.

Ppor. C. L.
Trudno jest doradzić, jaki zawód jest najodpowiedniejszy. Decydującym czynnikiem w wyborze zawodu powinno być przede wszystkim zamiłowanie, a następnie stan zdrowia, popyt na dany zawód i jego rentowność. Rzemieślnik o pełnych kwalifikacjach (czeladnik, mistrz), znający doskonale swój zawód, zawsze znajdzie lepiej lub gorzej płatną pracę.

Sierż K. G.
Wskutek wojny, rzemiosło w Polsce poniosło duże straty w siłach wykwalifikowanych i w warsztatach. Obecnie istnieją znów Izby Rzemieślnicze. Warunki założenia własnego warsztatu są bardzo trudne. Trzeba mieć odpowiedni zasób gotówki, a wobec wysokich cen i niemożności kupna maszyn, narzędzi i surowca, samo uruchomienie warsztatu jest nadzwyczaj ciężkie. Wypowiedzi entuzjastów nowego porządku w Polsce trzeba brać bardzo krytycznie.

UCHWAŁA KOŁA BRZEŻAŃCZYKÓW

W sprawie „Funduszu im. gen Bora-Komorowskiego"

Zarząd Koła Brzeżańczyków na zebraniu odbytym dnia 26-go maja, 1946 r. w Edinburgh (Szkocja) uchwalił kwotę £81.15.9 (słownie: osiemdziesiąt jeden funtów, piętnaście szylingów i 9d.) zebraną na Fundusz im. Gen. Bora-Komorowskiego za pośrednictwem redakcji „Polski Walczącej" — przekazać do dyspozycji Koła A.K. w Londynie z życzeniem:

a) użycia zebranej sumy na pomoc dla żołnierzy A.K. w studiach, bądź jako zwrotnego stypendium, bądź też jako bezzwrotnych zapomóg,

b) kontynuowania zbiórki na ten „Fundusz" założony z inicjatywy Koła Brzeżańczyków dnia 5-go marca, 1945 r. w Ormskirk.

Zarząd Koła Brzeżańczyków składa tą drogą wszystkim szlachetnym ofiarodawcom staropolskie Bóg zapłać.

Za Tymczasowy Zarząd Koła Brzeżańczyków.

Przewodniczący:
Stawiński Florian.
Sekretarz:
Krukowiecka Henryka.

Stosownie do tej uchwały redakcja „Polski Walczącej" przekazała dn. 30 V b.r. protokolarnie powyższą sumę kołu A.K. w Londynie.

SPIS RZECZY

NA PACZCE OD MYDŁA...

Obywatelki i Obywatele! Zgniła emigracjo i szczera demokracjo! Przyjaciele i wrogowie ludu! Faszyści i czerwonoskórcy! W najbliższym czasie organizuję zbiorową wycieczkę słuchaczy i słuchaczek moich oracji „soap-boxowych" z Hyde Parku londyńskiego. Dokąd pojedziemy? Jeszcze nie wiem, w każdym razie trzeba zrobić wycieczkę, bo moda wiosenna tak nakazuje.

Wycieczek osobistych mamy już dosyć. Czas na wycieczki zbiorowe. Zaproszenia płyną ze wszystkich stron: Kreml zaprosił całą „agencję rządową" z Warszawy; Krzysztof Radziwiłł — Radziwiłł „Towarzyszu-Kochanku" — *zaprosił w* „Manchester Guardian" *całą prasę brytyjską do Polski; Fierlinger całą armię sowiecką na przechadzkę po Czechosłowacji; a Bevin II Korpus do Wielkiej Brytanii. Wycieczki zbiorowe! Zawsze tak bywało na świecie wiosną i w lecie...*

Kto nie może zbiorowo jechać, jedzie w pojedynkę. Sam jak palec np. pan Popiel. W „piastowskiej" Polsce Popiel poczuł się sobą i pojechał w maju z Warszawy do Łodzi. Kropnął tam przemówienie — niech się schowa obywatel Żądełko. O czym mówił? A o czym mówi szanujący swoją głowę orator w obecnej Polsce? Atakował przede wszystkim rząd londyński, w skład którego tyle razy ochoczo wchodził i z trudem wychodził.

Wiecie, co mi się przy tym „neo-Popielu" przypomniało, moi mili demokraci? Drobne ogłoszenie powtarzające się w „Wiadomościach" — o tabletkach przeciw niestrawności „White Lions": "...Wystarczy pięć minut, abyś wyglądał zupełnie inaczej. Zdumienie ogarnie twych znajomych, gdy ujrzą tak ogromną zmianę!". *Mówię wam, że Popiel ma na pewno za sobą kilka takich tabletek. Może niekoniecznie* „white", *może* „red". *I nawet zdumienie nie ogarnia znajomych — tylko śmiech.*

Z innego typu indywidualnych wycieczek krajoznawczych pewna, niespodziewana a bardzo ważna, dużo zdrowia kosztowała „dwóch panów L." *w Stanach Zjednoczonych. Lange nie mógł przebaczyć Litauerowi, a Litauer Langemu, że Bór ich wywiódł w pole... Nawet* gromykiem *głosem założyli obydwaj „veto". Echo było słabe, bo Bór szumi mocno w U.S.A. i to o niejednym...*

Kto wie czy Lange już nie myśli o nowej zmianie obywatelstwa a Litauer o nowym wyznaniu politycznym. Polonia amerykańska zrobiła im wielką krzywdę! Gotowi biedacy teraz dostać zaproszenie na dwójkową wycieczkę do Moskwy. Trudno! Padli na polu grandy, jak bohaterski generał Rudenko w Norymberdze, któremu nie udało się ukryć biegu historii i tajnych sojuszów z roku 1939.

Wydaje mi się moi mili demokraci, zebrani wokół mojej paczki od mydła, że tajemnicę wycieczki rządu warszawskiego w pełnym składzie wiernych agentów wyświetlić należy na sposób słowiański sloganem:

„Pielgrzymka P.P.R. — w sprawie O.P.R. — od Z.S.R.R.!" —

A jest za co! Brytyjskich dyplomatów w Krakowie 3. *maja na rękach nosili, Bora do Ameryki wpuścili, Gomułkę na „UNRĘ" wypuścili, Mikołajczyka jeszcze nie unieszkodliwili... Mówię wam, moi mili, nie chciałbym być nawet Mincem w tym ich rządzie tymczasowym. Ciężka robota!*

Jako szczery demokrata przydałbym się im, bo wymowy dobrej nie mają i sanacyjny styl, w faszystowski sposób przy lada okazji demonstrują. Np. tak niedawno opisywali święto „wyzwolenia" w Warszawie (oczywiście w „Tygodniku londyńskim"): „Tłuką o bruk buty żołnierskie, prężą się żołnierze przed reprezentaniami (!) majestatu Rzeczypospolitej. Krok znakomicie wyćwiczony, znać, że to stary żołnierz...

Pomyłka druku Tygodnika wyszła dość akuratnie „Reprezentaniami". Tania istotnie jest ta reprezentacja. Żołnierz jest stary. Majestat nowy. Choć znakomicie wyćwiczony w znanej szkole.

Na trybunie majestat Rzeczypospolitej reprezentowali: Bieńkowski i Rutkowski — dwaj agenci sowieccy czyli Bierut — jeden „prezydent" K.R.N. (czytaj: Kazało Radzieckie Naczalstwo).

Trudno obywatele, zaciśnijcie zęby, trzeba tę komedię majestatycznie przeżyć i obejrzeć do końca. Trzeba doczekać trzeciego aktu. Na razie jest przerwa po drugim, dlatego ogarnia was gorączka i dyskutujecie zakończenie farsy. Gdy nastąpi finał, prędko gońcie pod boczne drzwi, „stage door" jak to nazywają Anglicy, żeby wam nie uciekli główni aktorzy — i statyści. Cisnąć się oni będą do wyjścia w szminkach i kostiumach „majestatu" tak, jak zeszli ze sceny. Co niektórzy zechcą zmienić oblicze, więc i na to bacznie uważajcie. Statystów też nie wolno wam przegapić, w szczególności takich co będą biegli, trzymając żakietowe dyplomatyczne portki w garści i takich co tylko jedną stronę gęby nasmarowali sobie na czerwono, a drugą na wszelki wypadek zostawili białą...

To sobie musimy powiedzieć obywatelki i obywatele, że nie mieliśmy, „Quislinga" pod poprzednią okupacją wojenną, ale mamy pod obecną okupacją pokojową sporo błaznów, przemalowanych do połowy i wielu clownów, kupionych przez obcy cyrk na tymczasowe gościnne występy...

Urządźcie ze mną w myślach taką zbiorową wycieczkę po krajach, miastach, organizacjach, związkach, zgromadzeniach, ludziach — i szukajcie tych co grają nie tylko główne role, ale epizody! I zapamiętajcie te szlachetne oblicza.

Żegnam was aktualnym zawołaniem: „Nie zażywajcie tabletek przeciw niestrawności, abyście w ciągu pięciu minut nie wyglądali inaczej i aby zdumienie nie ogarniało waszych znajomych!"

Do usłyszenia za tydzień, o tej samej porze, na tej samej paczce, z tymi samymi kłopotami.

Wasz

OBYWATEL ŻĄDEŁKO

Z ruchu wydawniczego

Z szeregu ostatnich wydawnictw Światpolu, na specjalne podkreślenie zasługuje wybór fragmentów z dzieł Stefana Żeromskiego p.t.: „Dla młodzieży", Artura Śliwińskiego: „Powstanie Listopadowe" i Zygmunta Nowakowskiego: „Gałązka rozmarynu". Na specjalne podkreślenie — to jednak nie znaczy, że i na specjalne uznanie.

Nasza literatura klasyczna przechodzi obecnie — jak to stwierdzają wszyscy, i wydawcy, i czytelnicy — okres ponownej, a wielkiej poczytności. Mówiąc prawdę jesteśmy już zmęczeni wojną, bezmiarem narodowego dramatu i dziejami nas samych, naszych pokoleń, naszego świata. Książka Reymonta, czy Prusa, Orzeszkowej czy Żeromskiego jest i słowem krzepiącym i ucieczką dla myśli najzdrowszą. Ale niechże książka ta nie będzie okaleczona. Nawet dla młodzieży — a młodzież dziś szybciej niż zazwyczaj dojrzewa — przydałby się Żeromski kompletniejszy, mniej „wypisowy", bardziej prawdziwy. Zapewne, trudno jest wydać „Popioły", ale n.p.: „Syzyfowe prace", na których w dużej mierze opiera się ten ułatwiony Żeromski dla młodzieży, mogłyby być wydane chyba bez trudności większych, niż tom „Dla młodzieży".

„Powstanie Listopadowe" Śliwińskiego jest pracą trochę przedawnioną. Źródła, na których oparł się autor, przebieg wydarzeń, które kreśli i wnioski, do jakich dochodzi są już powszechnie znane. Styl, czasem drażni swym patosem, kiedy indziej znowu nuży jednostajnością opisów batalistycznych. W zestawieniu z „Powstaniem Styczniowym" tego samego autora, „Powstanie Listopadowe" wydaje się słabsze.

Przy tych jednak wszystkich wadach pracy Śliwińskiego nie można zaprzeczyć słuszności założeń wydawców — chcą oni, obok innych, stworzyć biblioteczkę historyczną, obejmującą przynajmniej najważniejsze wydarzenia i momenty przełomowe. Słuszność tego stanowiska równoważy oczywiście, a może nawet przeważa wszystkie uwagi krytyczne, jakie o „Powstaniu Listopadowym" można powiedzieć.

Wady wydanej obecnie „Gałązki rozmarynu" Nowakowskiego wydają się być tylko formalne. Jest to sztuka, która zamknęła w sobie sceniczną wizję Pierwszej Brygady. Już sam ten fakt wymagałby pewnego, chociażby nawet bardzo krótkiego komentarza. Dalej, „Gałązka rozmarynu" jako sztuka ma też swoją historię, która w pewnej mierze jest też i historią wspomnień każdego z nas, naszych wzruszeń w teatrze; naszego zachwytu, czy naszej krytyki, zadowolenia, czy oburzenia. Bo stwarzając obraz czasów, które *już* nie były rzeczywistością, a *jeszcze* nie stały się historią, sztuka wywołała bardzo różne reakcje. Szkoda, wielka szkoda, że komentarza do „Gałązki rozmarynu" teraz zabrakło. Tym bardziej, że ukazuje się ona obecnie w druku, a nie na scenie.

Bardzo sumienną, opartą na wielu przemyśleniach i studiach jest wydana obecnie praca Bogdana Wielkopolskiego: „Poborowe czy zawodowe siły zbrojne Rzeczypospolitej Narodów Europy Środkowej". Jest to przedruk z „Bellony", autor zaś nie należy do postaci w wojsku nieznanych. W roku 1932 opracował projekt reorganizacji naszych sił zbrojnych, oparty na przewidywaniu, że wojna, która się zbliża, będzie wojną techniczną i psychologiczną, gospodarczą i społeczną. Że wyjdzie szeroko poza ramy formalnej strategii i historycznych wspomnień. Projekt ten został przyduszony, zlekceważony, pokwitowany niechętnym wzruszeniem ramion. W roku 1941 Wielkopolski w jednej ze swych prac przewidywał zbliżającą się wojnę atomową. Przykłady, które wówczas stworzył siłą swej wyobraźni, przybrały na siebie w kilka lat później postać zmiecionej z powierzchni ziemi Hiroshimy.

Podobna zdolność przewidywania, a równocześnie duża znajomość dziejów wojskowości, cechuje i ostatnią pracę Wielkopolskiego. Osią jego rozważań jest pytanie, jakie wojsko jest wojskiem przyszłości: poborowe, czy zawodowe. Odpowiedź autora wypada: ani poborowe, ani zawodowe, lecz poborowo-nadterminowe.

MAREK ŚWIĘCICKI

PORADNIK ŻOŁNIERSKI

St. Szereg. C.
Nie widzę powodów, żeby się Pan czuł aż tak bardzo rozgoryczony faktem, że Dowódca odmówił przedstawienia Pana prośby o urlop do Francji poza kolejką. Musi sobie Pan zdać sprawę z tego, że została przyznana b. ograniczona ilość kontyngentów urlopowych do Francji, co P.S.Z. w Wielkiej Brytanii nie pozwala na udzielanie urlopów poza kolejką. Udzielenie Panu urlopu poza kolejką bez bardzo poważnych powodów byłoby krzywdą innych kolegów. Powody, które mi Pan przedstawia w liście z dnia 13 marca br. są ważne niewątpliwie, ale „w trudnej sytuacji materialnej" znajduje się tysiące innych rodzin. Niech Pan na chwilę choć pomyśli o tych rodzinach Pana kolegów, które znajdują się w Kraju, obozach *Displaced Persons* i gdzieś w Rosji...

Plut. Mat.
Nie wolno Panu pod żadnym pozorem bezpośrednio zwracać się do Wojskowych Władz Brytyjskich. Prośba Pana niewątpliwie będzie zwrócona Panu w drodze służbowej i narazi Pana na przykrości ze strony przełożonych. Pomijając już fakt, że brytyjskie *War Office* każdy taki wypadek traktuje, jako brak dyscypliny wojskowej w P.S.Z.,

Podchorąży C. W.
W roku 1931 ukazała się Encyklika Papieża Piusa XI. „O odnowieniu ustroju społeczenego". Zaczyna się ona od słów... "Quardragesimo Anno". Słynna Encyklika „Rerum Novarum" traktująca o kwestji robotniczej ukazała się 15 maja 1891 roku. Proszę zwrócić się do Kapelana Oddziału, na pewno pomoże Panu w nabyciu tych encyklik.

Sportowiec
Każda broń palna prywatna jak pistolety, karabiny, fuzje i t.p., na której posiadanie nie uzyskano pozwolenia brytyjskich władz policyjnych uważa się za broń „nielegalnie posiadaną". Posiadane przez Pana zezwolenie na posiadanie fuzji, wydane przez polskie władze wojskowe straciło swą moc z dniem 1. maja br. Radzę bezpośrednio zwrócić się do miejscowych władz policyjnych z prośbą o zezwolenie na posiadanie fuzji. Do podania w języku angielskim można dołączyć list Pana szkockich znajomych, w którym zezwalają Panu na polowanie na ich terenie oraz dotychczasowe zezwolenie polskich władz wojskowych.

Kpr. A.K.
Polskie Władze Wojskowe na terenie W. Brytanii nie dysponują funduszami na rzecz pomocy i opieki materialnej osobom przebywającym na terenie Polski i podlegającym opiece społecznej rządu tymczasowego.

Kaz. Jan 307 Sgt.
Adres Konsulatu francuskiego w Londynie: French Consulate General, 51, Bedford Square, W.C.1. Tel: Museum 1206.

WYDAJE „FIGHTING POLAND" TRUST

Adres Redakcji (Editorial Offices): 52 Halton House, 20-23 Holborn, London, E.C.1. Tel. CHAncery 7747.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: (z przesyłką pocztową) w Wielkiej Brytanii miesięcznie 1sh. 6d kwartalnie 4 sh. 6d., w U.S.A. i Kanadzie miesięcznie 35 c., kwartalnie $1.00 c.

Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na „FIGHTING POLAND TRUST" pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — £1 ($5). Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia na pierwszej stronie w miarę wolnego miejsca o 100% drożej. Ogłoszenia drobne 6d. za słowo.

Poszukiwania osób rodzin wojskowych bezpłatnie w miarę wolnego miejsca.

Adres Administracji (Business Offices): 69, Earl's Court Square, London, S.W.5. Tel.: FLAxman 8600

Printed for „Polska Walcząca" by Williams, Lea & Co., Ltd., Clifton House, Worship Street, London, E.C.2. Registered at the G.P.O. as a Newspaper